



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Zdaje mi się, że gdybym miał skrzydła, choćby gęsie, i to gęsi swojskiej, machałbym niemi co chwila i podrywał się do lotu, — takiego coś powiało w powietrzu.

Nie powiem, że „pachnie wiosną“, bo nie pachnie; przeciwnie, na bruku warszawskim nie pachnąć nie może, zwłaszcza po odwilży, wśród kup zgartywanego błota i grudy, kilofami rozbijanej teraz po całych dniach i nocach. Woni wiosennej nie czuć jeszcze; ziemia się dopiero płucze i myje przed rozpoczęciem właściwej swej toalety.

Na pachnidła nie tak rychło kolej przyjdzie przy gotowalni natury.

Ale jest już coś w uśmiechu słońca, w barwie nieba, w powiewie wiatru, poczem poznać można że zima, zostawiwszy cały swój bagaż śnieżno-iodowy, spadła nareszcie z etatu i dostała dymisy.

Kalendarzowa wiosna stawiała się w terminie, jako następczyni tronu po białej monarchini, która kryształem berłem z lodu gniotła nas przez cztery, albo nawet pięć miesięcy. Będziemy ją pamiętali i jeszcze wnukom naszym przekazemy tradycją tegorocznej zimy, jeżeli następna nie będzie sroższą i mroźniejszą i jeszcze bardziej dokuczliwą.

Przewidywana klęska powodzi nie minęła Po-wiśla i pbrzeży wszystkich niemal rzek większych u nas i zagranicą. Spodziewano się, co prawda, gwałtowniejszej katastrofy, większych strat, groźniejszych następstw, ale chociaż stonkowo ta pierwsza powódź obesła się jeszcze owiele łaskawiej, niż się zapowiadała, szkód

wyrządziła dużo i wielkich. Pozrywała mosty, pozabierała ludziom mnogo dobytku, połknęła ofiar dosyć, a co najgorsza, że nie ustąpiła dotychczas i powtórzeniem się grozi.

Kolega mój, najpoczeiwszy i najdowiecniejszy, Bolesław Prus w *Kurjerze Codziennym* zarzucił prassie, że przesadza w opisach katastrofy, że prosto więcej piany rozbryzguje, niż jej woda przyniosła.

To nie dobrze straszyć ludzi, — wiem o tem, nie dobrze popłoch szerzyć; ale nie dobrze też z jednego mostu na Wiśle wnioskować o całej powodzi i zaprzeczać faktom, które stwierdziła cała miejscowa i prowincjonalna prassa. Obowiązkiem jej jest w takich razach przed klęską przestrzegać, podczas klęski informować, po klęsce służyć za pośredniczkę między ofiarnym ogółem a ofiarami. Trudno z góry przewidzieć, na czem się katastrofa skończy, choćby się dało najdokładniej obliczyć, kiedy i od czego się zacznie. Nie jest to żaden argument, że biadanie i krzyk przestrogi nie były potrzebne *przedtem*, dlatego, że *potem* niebezpieczeństwo minęło.

Któż mógł być pewnym, iż tesame kry i te same wody, co zrywały mosty, obalały tamy, przewracały domowstwa, rabowały statki i berlinki, nie pohulają sobie w tensam sposób pod Warszawą, jak hulają pod Krakowem lub Demblinem?...

Przeceniać niebezpieczeństwo jest równie złem, jak niedoceniać go. Prassa może zgrzeszyła stylem nieco przesadnym (o ten styl reporterski!), kolega Prus (przepraszam kolegę Prusa!) zgrzeszył również stylem, bo domieszał do niego za dużo humoru i występując przeciw formie reporterskich wiadomości, zlekceważył zanadto kwestyą, nieulegającą zaprzeczeniu. Powódź, i to w rozmiarach jedna z największych, była faktem, jest nim dotąd i zapewne powtórzy się przy dalszych gwałtownych roztopach; nieszczęście zatem czycha jeszcze zawsze w tychsamych

nurtach na swe ofiary i gotowe każdej chwili rzucić się na nie, a gdy to uczyni, kolega Prus będzie musiał pierwszy dzwonić wtedy na alarm i do miłosierdzia publicznego odwoływać się w najczulszych wyrazach.

A miłosierdzie publiczne gotowe wtedy odpowiedzieć mu jego własnymi słowami:

— „Nie przesadzaj kochanku!... dziennikarstwo zawsze dyabła czarniej maluje, niż nim jest po wykapaniu w najczarniejszej smole.“

Zarzućcie mi pod tym względem także przesadę, ale jako argument stwierdzający ją jednocześnie, poszlijcie dla biednych, głodnych powodzian bez dachu i chleba—co łaska. Każdy grosz, każdy bochenek chleba, każda ofiara—to przeciwwaga na szali niedoli i klęski; nie wolno jej skąpić nikomu.

W wielkim tygodniu, w dniach corocznej kwesty należałoby też serdeczniej pamiętać o biednych i uczynkami miłosierdzia stwierdzać tę miłość bliźniego, która coraz więcej rozbrzmiewa tylko we frazesie.

Święta wielkanocne tak blisko, za kilka dni dzwon rezurekcyjny uderzy wspaniałem hasłem zmartwychwstania, pod którego dźwiękami wszystkie wierzące i ufające serea zadrżą radośnie.

Powinienbym, jak co rok, wystąpić z życzeniami i powiedzieć wam oracyą na ten temat, ale w pokorze ducha wyznaję, że wolałbym być organistą, niż kronikarzem w tym wypadku, aby mi wolno było użyć starych, zawsze tychsamych i szablonowych powinszowań.

Już nie o formę chodzi, ale o treść coraz trudniejszą do zestylizowania i do ujęcia w słowa; tyle trzebaby życzyć każdemu i wszystkim razem, że pióra nie starczyłoby w końcu.

Niechaj więc za mnie przemówi do was wiosna, która świat odradza i świeżem tchnieniem krzepi ludzkie piersi i naturę całą; niech za mnie mówią dzwony, co głosić będą tryumf ducha nad

śmiercią cielesną i wołać: „Hosanna!“ zmar-twychwstałemu Chrystusowi; niech za mnie po-wiedzą wam wasze własne serca, czego im ży-czę w pięknych dniach tego święta, które otu-cha przejmując najędźniejszych Łazarzy.

Nie kaźcie mi powtarzać się echem lat minio-nych; wiecie dobrze, że co roku o tej porze jedne i te same zwykle życzenia na temat „wesołych świąt“ wam składam.

Obym w roku przyszłym nie życzyć, ale po-winszować choć cząstki spełnionych mógł ży-czeń!..

Z losami tak trudno wchodzić w targi; czem więcej się od nich wymaga, tem mniej dają.

Nie dość, że skąpią, ale zabierają jeszcze; ostatni tydzień znowu nas pokrzywdził, śmierć zabrała nam dwóch ludzi, których ubytek jest prawdziwą stratą dla piśmiennictwa polskiego. W Warszawie 19 b. m. umarł Władysław Sa-bowski; w Poznaniu Kazimierz Jarochoński.

Pierwszy był autorem znanym od lat trzydziestu, pisał pod pseudonimem Wołodego Skiby, Omikrona, Bładowskiego, był poetą, tłumaczem, (znakomitym w swoim rodzaju) powieściopisarzem, dramaturgiem, humorystą, dziennikarzem, redaktorem, umiał pisać dziesięcioma piórami, a jed-nem łatwiej od drugiego; zdolności miał niepo-spolite w wielu kierunkach, umysł wykształcony encyklopedycznie, w głowie nosił całe archiwum i bibliotekę.

Poznałem go przed laty chyba dwudziestu we Lwowie, gdy pierwsze próbki pióra niosł do druku z bijącym sercem i „pana redaktora“ miał po raz pierwszy w życiu sposobność zobaczyć *in persona*. Z łagodnym, uprzejmym, ujmującym za serce uśmiechem przyjął mnie, jak dawnego kol-legę, nie jak młodzika, z poplamionymi szkolnym atramentem palcami.

Miał dar ośmielania i zachęcania młodych; na-leżał mu się też słusznie ów wieniec na trumnie od jego protegowanych.

Po latach spotkałem się z nim znowu w re-dakcyi, gdy wrócił do Warszawy w r. 1883-cim; pracowaliśmy wówczas razem w *Kuryerze War-szawskim*, a następnie, do ostatnich chwil prawie, w *Kuryerze Codziennym*, którego był współredak-torem. Zawsze tensam, niezmienny ani z powierzchowności, ani z usposobienia i chara-ktetu, zapracowany po całych dniach do późnej nocy, pochylony nad stolikiem z piórem w ręku, z cygarem w ustach, ślęczący nad plikami pa-pierów, gazet, manuskryptów do poprawienia, notatek i materiałów, z których powstawały se-ciny artykułów, felietonów, przeglądów politycz-nych, wierszy, humorerek, nawet szarad, nawet odpowiedzi od redakcyi w tysiącznych kwestiach najróżnorodniejszej natury.

A zawsze jednako cichy, skromny, uśmiechnięty pogodnie i dobrodusznie, grzeczny i usłużny pan Władysław należał do tych nieocenionych kolegów, którzy nikomu nigdy wody nie za-macili.

Każde pismo takim współpracownikiem chlu-bić się mogło, bo starczył za czterech w potrze-bie i wiedział zawsze to, czego reszta najczę-ściej nie wiedziała.

W młodości zajmował się matematyką i po-ezyą, później wszystkim z jednakiem zamiło-waniem; inwencyjny umysł zdobywał się zarówno na dowcipne i oryginalne pomysły do powieści, jak „Kanarki“, „Kwiat z Sumatry“, „Na węd-kę“, „Grześ“, „Siedmioletnia wojna“, „Nad po-ziomy“ etc. etc., na osnowę do komedyi, odzna-czanych na konkursie, jak „Pół miliona“, na poemat, jak „Edward“ w sześciu długich pie-śniach, na mnóstwo ucinkowych wierszy i satyr politycznych i społecznych, a obok tego rozwią-zywał najzawilsze zadania arytmetyczne z pa-mięci, kontrolował matematyków w ich różnicz-kowym rachunku, tworzył nowy systemat ste-nografii, odmienny zupełnie od Gabelsbergera, zajmował się mechaniką i konstruował przyrządy do kierowania balonami.

Najwięcej pożytku i usługi miało z Sabowskie-go dziennikarstwo; w Krakowie, we Lwowie, w rodzinnej swej Warszawie, należał do tych ro-boczych, niezmordowanych sił, na które zawsze liczyć można było, że nie zawiodą.

Czego nikt nie potrafił zrobić, Sabowski zro-bił zawsze i zrobił dobrze.

Pisał szybko, a z taką łatwością, że mu nic nie przeszkadzało w pisaniu; ileż razy widziałem go przy biurku, gdy rozmawiał na pozór swobodnie a jednocześnie drobniutkiem, okrągłym, równem piśmem kreślił na paskach papieru pilny artykuł, wymagający skupienia umysłu i uwagi! Rymy sypał z rękawa, a nie byle jakie, bo dbał o for-mę oryginalną i niezwykłą, przestrzegając gor-liwie praw języka, którego był dobrym znawcą. Ogi przecież i o ortografii pisał rozprawę.

Jako człowiek był prawym i uczciwym chara-akterem, bez złości i zawiści; spokój i równowaga cechowały go zawsze, sprawiedliwość i łagodność kierowały nim w stosunkach prywatnych i pu-blicznych: dlatego jego śmierć, prawie nagła, zasmuciła wszystkich głęboko i skupiła około trumny liczny zastęp kolegów, przyjaciół i zna-jomych, a objawy żalu nosiły cechę szczerości serdecznej.

Niech odpoczywa w pokoju!.. wart go po śmie-r-ci ten, który za życia nikomu go nie zamacił.

Zgon Kazimierza Jarochońskiego dla dziejo-pisarstwa polskiego jest stratą dotkliwą; od lat prawie czterdziestu zmarły pracował na niwie historii polskiej, z szczególnością zamilowa-niem badał epokę Sasów, mnóstwo studyów źró-dłowych przysporzył poważnej, naukowej litera-turze.

Z zawodu był prawnikiem, historykiem z za-miłowania. W Poznaniu pełnił przez długie la-ta urząd sędziego, wszystkie wolne chwile po-święcając ukochanej nauce; był jednym z naj-gorliwszych krzewicieli oświaty i umysłowego ruchu w W. Ks. Poznańskim; jako członek To-warzystwa Przyjaciół Nauk nad Wartą był je-dnym z najgorętszych obrońców interesów i praw swojej prowincyi, korzystając z pisanego słowa w prasie i żywego w sejmie pruskim, do którego objął mandat dopiero na dwa lata niespełna przed śmiercią.

Umarł, podobnie jak Sabowski, na chorobę ser-cową, ludząc się nadzieją, iż będzie mógł jeszcze powrócić do pracy i prowadzić studia naukowe, pomnażając swą cenną i obfitą spuściznę.

Pięć seryi szkiców i opowiadań historycznych świadcza o Jarochońskim, jako o wybornym *essay-ście* w tym rodzaju; wydobywał on kamyki i szlifował je umiejętnie, przygotowując materiał dla przyszłego dziejopisa, dużej ręki który za-bierze się do ułożenia całej mozaiki i spróbuje dać nam obraz wierny i skończony naszej histo-rycznej przeszłości w nowem oświeceniu i od-świeżonym kolorycie.

Przed sześciu laty sędzia Jarochoński, nie chcąc się zgodzić na dobrowolne wygnanie w ja-kimś zapadłym kącie Brandenburgii, musiał się podać o emeryturę; polityka żelaznego kanclerza dążąc do germanizacyi zupełnej Poznańskiego, usuwała wówczas żywioł polski zewsząd, a zwłasz-cza z sądownictwa. Jarochoński historyk i li-terat musiał paść ofiarą przed innymi.

Usunął się tedy dobrowolnie w zacisze domowe, zrezygnował z urzędu i oddał się całkowicie swej działalności naukowo - pisarskiej; niestety, nie długo mógł pracować spokojnie!..

Kiedy się tak spoziera po świeżych grobach, w których najpotrzebniejsi nikną, jak w zasadz-kach złośliwej śmierci, z jakimś lękiem patrzy się potem na tych pozostałych ze starszego poko-lenia i chciałoby się zasłonić ich własnymi pier-siami, aby nie dopuścić do nich czychającej ko-siarki.

Ubywa tyłu, przybywa tak mało!..

Mnóstwo stanowisk ważnych, odpowiedzial-nych, już nietylko pierwszorzędných, pozostało wśród nas na rozmaitych polach niezajętych. Nie widać godnych następców po tych, którzy padli lub ustąpili.

Smutno, straszno się robi, myśląc o przyszło-ści.

Nowy grób, jak nowa rana przybywa tej ziemi, po której śmierć w ostatnich latach chodzi, upa-trując najcenniejszych niemal na ofiarę i ubija ich jednym cięciem swej kosy.

Quis.

BYRON.

(Dalszy ciąg).

W Kwietniu 1819 r., w salonie hrabiny Ben-zoni, poznał Byron dwudziestoletnią Teresę Gam-ba, wydaną za bogatego, przeszło sześćdziesięcio-letniego starca, hrabię Guiccioli. Oboje od pierwszej chwili już należeli do siebie. Historią tej miłości opowiedziała sama jej bohaterka, zmar-ła we Florencyi w r. 1873 jako margrabina de Boissy, w książce stanowiącej rzadkie zjawisko w literaturze; ¹⁾ opowiedzieli ją i znajomi jednej i drugiej strony, i osoby trzecie. Podwoje tej hi-storyi pozostaną tu dla nas zamkniętymi. Mał-żeństwo Guicciolich skończyło się rozwodem i ali-mentami, płaconemi przez męża pod warunkiem zamieszkiwania rozwiedzionej przy ojcu w Ra-vennie. Wolałby Byron rozkoszny pobyt w willi La Mira pod Wenecyą, którą na własność był zakupił po sprzedaniu Newstead-Abbey (za 95,000 f. st.), ale musiał się poddać konieczności. Od koń-ca r. 1819 do lata 1821 trwa tedy pobyt wspólny w Ravennie.

Patryotyczna familia hrabiów Gamba wciąga Byrona w spisek przeciwko Austrii; karbonarzy neapolitańscy znajdują w nim protektora i korzy-stają z jego datków; Byron jest naczelnikiem lo-ży amerykańskiej, nie szczędzi pieniędzy ²⁾, wi-kiła się coraz bardziej i zwraca na siebie uwagę policyi, i nakoniec wraz z rodziną Gamba wygna-nym zostaje z Rawenny. Wszyscy osiedlają się w Pizie, na jesieni 1821 r. Poeta bierze za prze-śladowanie odwet w najbardziej politycznym swym utworze, pełnym głębokiej prawdy oburzo-nego uczucia i druzgocącej satyry: *The age of bronze*. Obawy były płonne a prześladowanie zbyteczne. Pani Guiccioli powiedziała słusznie o ówczesnych Włochach, że dobrzy są tylko do pisania oper.

Pierwszym utworem po poznaniu hrabiny Te-rezy jest „Oda do Padu;“ po niej następuje *Ma-zezpa*, w którym wojewodzina nosi imię kochanki autora. Pod wpływem hrabiny Guiccioli, a tchnie-niem wiejącem od grobu Wielkiego Gibelina po-wstaje, ukończony d. 21 Czerwca 1819 r., poemat: *The prophecy of Dante* i przekład *Franceski z Rimini* z „Piekiła.“ W Ravennie pisze poeta dramata, obmyślone jeszcze w Wenecyi: *The two Foscari* i *Marino Follero*; i dwa inne, czysto już myślowe, nie historyczne, *Cain* i *Sardanapa-lus*; pierwszy dostaje się Walter-Scottowi, drugi Goethemu.

Pani Guiccioli chce odwieść Byrona od dal-szego pisania *Don Juana*; ale wyjednywa tylko prawie trzyletnią przerwę w tworzeniu. Dwie pierwsze pieśni, napisane jeszcze w Wenecyi, we Wrześniu r. 1818 szyderczo ofiarował autor z nie-miłosiernią dedykacją, poecie-laureatowi Southeyowi, który, zacząwszy od śmiałego *Wat Tylera*, paradował teraz z niedorzecznie służalczem *Vision of Judgment*. Niezadowolony jeszcze z owych dedykacyi, Byron pod tamsamym tytułem napi-sał trawestacyą ramoty southeyowskiej. Z Ra-wenny w Lipcu 1821 r. wysłał do Anglii III—V księgi *Don Juana*.

W Pizie mieszkał Byron wraz z Gambami od Października 1821 r. do lata 1822. Dalszy po-

1) Wydała je margrabina w Paryżu w r. 1868 p. t. *Lord Byron jugé par les témoins de sa vie*. Byron jest tu podzielo-nym na pojedyncze rozdziały aniołem. Pani Guiccioli przeczy nawet, aby był kulawym; jako żywo, także i łysym nie był, lu-biał tylko podgalać sobie włosy nad czołem! Oczywiście był nie tylko najgenialniejszym, ale i najlepszym z ludzi. Obszerny, przeszło 1000 stronnic trzymający, pamiętnik jest pomnikiem zupełnej aberracyi umysłowej. (Przyp. Aut.)

2) Nie szczędził ich i dla zwykłej dobroczynności, z któ-rą nieraz łączyła się próżność. Z 4.000 f. st., które wydawał rocznie w Wenecyi, piąta część szła na różnego rodzaju jał-mużny, wsparcia, zapomogi, pożyczki *à fonds perdus*. Majątek miał znaczny: oprócz kapitału ze sprzedaży Newstead wybrał jeszcze ze 20,000 f. st. od Murraya i innych za swe poezye, a miał także i udział w spadku po starej lady Noel Millbanke. (Przyp. Aut.)

był przecięły nowe zakazy. W Pizie odwiedził Byrona Shelleya, zawitawszy do niego już poprzednio, po drugim i ostatnim wyjeździe swoim na kontynent do Rawenny. Mylnie jest twierdzenie, jakoby autor „Prometeusza rozpetanego“ utonął, wracając z odwiedzin u Byrona. Śmierć w zatoce Spezii (d. 8 Lipca 1822 r.) ma raczej związek wypadkowy z powitaniem Ligh-Hunta, który wówczas na granicy Włoch się był zatrzymał, wyczekując poety. Z tym liberalnym politykiem i publicystą angielskim wszedł i Byron w bliższy stosunek za pośrednictwem Shelleya i wbrew radom Moore'a dostarczył mu pieniędzy na wydawnictwo czasopisma, które miało początkowo nosić tytuł *The carbonaro*, ale poprzestano na *The liberal*, a i tym niedługo się cieszyło, sam Hunt je bowiem uśmiercił. Byron w tem czasopiśmie drukował niektóre swoje poezye.

W Pizie napisał VI—VIII *Don Juana* i rozpoczął pracę nad dalszemi utworami, dokończonymi w Genui. Tu znalazł się już w lecie 1822 r. po skonie Shelleya, którego uczcił pięknym nagrobkiem z napisem „Cor cordium“ przy piramidzie Cestyusza w Rzymie. Z Genui ofiarował Goethemu *Wenera*, dramat na tle Wojny Trzydziestoletniej, zaczęty jeszcze w r. 1815¹⁾. W Genui napisał *Heaven and earth* („Niebo i Ziemia“), *The island* („Wyspa“) *The deformed transformed* („Niekształtne przekształcone“) i nakoniec ośm dalszych pieśni *Don Juana*. Z wyjątkiem „Nieba i Ziemi“ oraz IX i X pieśni *Don Juana*, są to już wszystko utwory słabsze. Teraz dopiero zwrócił się do tematów rodzimych i zaczął pisać *The conquest of England*. Już było zapóźno.

W Genui dopiero uczuł czczość życia. Jak swemu *Don Juanowi* miał dać kąpiel prawdziwie męzkiego czynu w rewolucji francuskiej, tak i dla siebie czynu zapragnął. W *Age of bronze* opiewał był bohaterstwo Bolívara; teraz namyślał się: czyby do Ameryki Południowej nie popłynąć i nie oddać życia swego za sprawę może dalekich ludów, ale przytem i za sprawę bliżkiego zawsze i obecnego wszędzie ideału. Ale nie: przemogła miłość klasyczna dla Grecyi, zwyciężyły wrażenia obojętne pod rozkosznym niebem zebrań. Towarzystwo Filhelenów londyńskich dało mu mandat otwierający stosunki z przewodzcami ruchu narodowego. Pożegnał hrabinę Guiccioli, i zabrawszy ze sobą 10 tysięcy dukatów w złocie, 40 tysięcy skudów w wexlach i zapasy broni, na własnym okręcie „Herkules“, w towarzystwie młodego Piotra Gamby wypłynął z Portu Genueńskiego d. 13 Lipca 1823 r. do Grecyi. Wiatr przeciwny zagnał go napowrót do Genui. Dopiero d. 24 Lipca wyruszył Byron nanowo—i więcej już nie wrócił.

Zawinął do Cefalonii. Tam przez pięć miesięcy poznawał położenie polityczne i stan umysłów, sztyftował wojsko, uczył się języka nowogreckiego, wreszcie prowadził z rządem tymczasowym rokowania o odpowiednie ofiarności swojej stanowisko w powstaniu. Świadczenia współczesne ukazują go przez krótką chwilę spromienionego marzeniami nawet o koronie greckiej—marzeniami, których jego dziwaczna, oderwana, do czynu i woli praktycznej niezdolna istota nie chciała i nie umiała przetworzyć w postanowienie. Panującą w nim zawsze była nuta próżności: przebiła się też przez samo nawet niezaprzeczone poświęcenie. Własnym kosztem wystawił oddział z półtysiąca ludzi, ale im dał teatralne uzbrojenie, a na hełmach czy kirysach umieścił—herb Byronów. Jakże doskonale ten herb maluje człowieka! W skłębionej przeciw duszy jego było miejsce na wszystkie prądy i wszystkie porwy. Dziecinna owa zabawka nie odejmowała powagi samemu przedsięwzięciu poety. Lgnął on szczerze do Greków, do ziemi i nieba Temi stoklesów i Milcyadesów; chciał naprawdę w wirze wypadków greckich utopić własną samowiedzę, która stała mu się już nieznośną, nie mógł już bowiem teraz stłumić zupełnie wyrzutów, że żądzami własnymi istotę swoją poszarpał, a z o-

gromnego geniuszu nie skorzystał tak, jak miał obowiązek skorzystał ten, kogo Bóg sam klejnotem najwyższego szlachectwa obdarzył. Zajęcie się jego powstaniem, ludem, przyszłością Greków było szczere i same już wielkie ofiary majątkowe dostatecznie o niem zaświadczyły; ale z wyjątkiem tego właśnie, na co wystarczały pieniądze, powstanie greckie absolutnie z całego praktycznego filhellenizmu Byrona żadnego nie odniosło pożytku. Prawdziwy poeta jest poetą zawsze i we wszystkim; istnieje przeciwko poetyczności tak ściśle z siłami życia praktycznego związana, że dzięki właśnie tej zależności, szczerza poezya słów zamienia się w szczerą poezyą czynów. Tego właśnie niema w Byronie. Przepaść niewiary i tu na niego cychała. Rozczarował się prędko, gdy stanął na kontynencie greckim i działał już potem raczej jako fantastyk, robiący nerwowe wysilenia, niż jako współwyznawca idei i szermierz sprawy, która przedewszystkiem wiary i zapалу wymagała.

Rząd narodowy Greków był wówczas bezrządem; w Missolunghi na północnym wybrzeżu Zatok Korynckiej, władał Maurocordato. Tu przyplął Byron d. 5 Stycznia 1824 r. Przyjęto go z wielkim a dobrze zasłużonem uczuciem wdzięczności, i serca Greków uderzyły dla niego miłością, jaką wzbudzały w polityce czyny upragnione przez wielkie gromady ludzkie. Niezgody przewodzców i wodzów, z poczuciem przemocy nieprzyjaciela złączone, zachmurzały widnokrąg przyszłości greckiej. Byron starał się zwaśnionych godzić, srogie obyczaje wojenne łagodzić, namiętnościom sobkownictwa dawać ujście w dobrym przykładzie rzetelnego przywiązania, które go do Grecyi zagnało. Uczestniczył w radach i naradach politycznych i wojskowych, zabiegał gorliwie około nowych sił zbrojnych, uzupełniał i ulepszał własny swój oddział, i miał już objąć dowództwo wyprawy na pobliskie warowne Nauptos (Lepanto), kiedy nagle zachorował, zdaje się, z przeziębienia na zwykłej wycieczce wkoło murów. Dnia 10 Kwietnia, położywszy się do łóżka, więcej już nie wstał; w pięć dni później dostał konwulsyi. Osłabiony organizm uległ w walce z malarycznymi wyziewami pomorza etolskiego. Choroba była podobno zgnięną gorączką. D. 19 tegoż miesiąca o godzinie 6 wieczorem Byron już nie żył. Przy skonaniu wymówił imiona siostry, córki i żony; przypomniał sobie i Teresę Guiccioli. Płakali go żałośnie młody Gamba i wierny sługa Fletcher; zapłakała po nim i garstka tkliwszych a bliżej nieboszczyka stojących Greków. Biografia cieszy się, że to życie do powszechnego morza istnień spłynęło w Missolunghi, nie w Wenecyi; że pieśń wojenna Greków, a nie szept i chichoty włoskie przeżywały nad śmiertelnymi szczątkami. Natchnienie szlachetnym tonem ozwało się w 36-tą rocznicę urodzin: zawołał o skon na polu bitwy. Lepszą była stokroć śmierć w boju, niż na łożu boleści; ale i za tę gorszą cień poety wdzięcznym być powinien Przeznaczeniu.

Grecy wyprawili przyjacielowi swemu królewski pogrzeb. Przez trzy tygodnie w całym kraju noszono żałobę, w samym Missolunghi przez trzy dni pozamykane były wszystkie sklepy—życie ustało. W nienawiści swojej do społeczeństwa, które mu dokuczyło, ale, jak sam wyznał w *Child-Haroldzie*, z własnej jego winy, zawołał był niegdyś: „Nie chcę, aby nawet po śmierci wasze robaki mnie żarły“ i w przewidywaniu śmierci zastrzegł sobie, żeby ciała jego nie sprowadzano do Anglii. Ale tej niedorzecznej woli nie posłuchano. Piotr Gamba zwłoki dziecka zwrócił matce. Serca tylko nie dali Grecy i zachowali je w Missolunghi. Dziś go już tam niema—i nigdzie go już niema: zaginęło w r. 1826 przy wdzieraniu się Turków do miasta. Widok trumny Byrona, wystawionej w Londynie, twardej karków angielskich złamać nie zdołał: wiersze swoją drogą, a życie swoją. Odmówiono przyjęcia zwłok do „Poet's corner“ w Westminster-Abbey. Duchowieństwo mogło mieć tu zajętny horyzont myśli; ale i cała umysłowość angielska, której przeciwko konwencyonalne jakieś solidaryzowanie się z dziekanją westminsterką oskarżać nie można, nie zdobyła się na je-

den objaw potężniejszy—przebaczenia, współczucia i nagrody wielkim geniuszom należnej. Powieziono zatem trumnę do Hucknall-Hill i umieszczono w osobnej kaplicy grobowej.—Dziś jeszcze tam jest jej miejsce, i dziś jeszcze oko wędrowca daremnie pod sklepieniami sławnego opactwa szuka pomnika Byrona.

Kiedy kondukt z Londynu szedł na północ, spotkała się z nim w drodze głośna lady Lamb, autorka *Glenarvona*, jedna z kobiet nieobojętnych dla poety; wysiadła, uklękła i gorzkimi załala się łzami. Dziwny wypadek zrzucił, że miejscowość doczesnego spoczynku przypomina bardzo silnie miejsce śmierci poety. Krajobraz wiejski w Hucknall-Hill ma być uderzająco podobnym do krajobrazu w Missolunghi, które za czasów Byrona było już tylko małą miejsciną.

Największy po Shakespeare'ze poeta Anglii, odbywszy pośmiertną swą pokutę, może jeszcze w tym wieku dostąpi przebaczenia i wielkiem nazwiskiem swoim przyozdobi panteon wielkiego narodu.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Litré, liczący siedmdziesiąty siódmy rok życia i pod naciskiem ciężkiej choroby zmuszony przerwać olbrzymią pracę, którą zaczął, mając lat sześćdziesiąt dwa, tak się spowiada czytelnikowi: — Choroba, przerywająca mi pracę, przywiodła przeciw na pamięć ten wiersz Wergiliusza, włożony w usta Eneasza, gdy ten po kilku zawodnych błyskach szczęścia w ostatniej nocy obrony Troi, zawołał: — „Heu, nihil invitis fas quemquam fidere divis...“ Tak... idzie ten prawie przeciw woli Boga, kto mając lat siedmdziesiąt sześć, przedsiębierze pracę, która musi być długą! Ale należy to do moich teorii moralnych, niejednokrotnie wyrażonych, że należy pracować i czyny pracowite przedsiębrać aż do końca życia, zostawiając to przeznaczeniu, czy dzieło nasze dokończonem, lub przerwanem zostanie? Potym wierszu Wergiliusza, przyszła mi na myśl wśród próżnowania choroby bajka La Fontaine o starcu, i śmierci, która mu dowodzi, że republice nie zależy nic na tem, zali zrobi on testament, uczyni spadkobiercą swoim synowca i przybuduje jedno jeszcze skrzydło do swego domu... Ale jemu zależało na tem i tak się sprzeczał ze śmiercią, aż go puściła: otóż Litré zakocha, że i on postąpił podobnie i jeden jego dom ducha—jego dzieło, skończonem zostało przez to niepoddawanie się wiekowi.

Ale nie tracił też czasu, o którym wiedział, że mu już jest nakrótka odmierzonem. Pracował dzień cały i oddał się pracy całkowicie, a w dziennym rozkładzie jego czynności nie było wcale rubryki na gości, na odwiedziny, na rozrywki. Jego światem, jego zabawą było dzieło jego, a myśli które rodziły mu się w umyśle, byli jego gośćmi. Jest rzeczą wiadomą, że miał dobrą żonę i dobrą córkę, musiał mieć i jakieś kółko miłych sobie ludzi, przyjaciół: więc działało się zadość i sercu. Wstawał z łóżka o godzinie ósmej i zaraz brał się do roboty koło dykcyonarza, którą zabierał ze sobą do innego pokoju na czas, gdy tamten sprzątało. O dziewiątej wracał znowu do siebie i robił korektę z odbitek dykcyonarza, aż do śniadania. Od pierwszej do trzeciej pracował dla *Dziennika Uczonych*: „Journal des Savants“, a od trzeciej do szóstej znowu nad dykcyonarzem. O szóstej jadł obiad z rodziną i zwykle siedział przy stole godzinę, potem znowu szedł do siebie i, jakkolwiek lekarze bronili mu pracy tak zaraz po obiedzie, nie słuchał ich przeciw i pokazało się, że miał rację za sobą, bo brak zdrowia nie prze-

1) W przedmowie zawiadamia, że jeszcze w trzynastym roku życia napisał dramat *Ulric and Iwina* ale miał później dość rozumu, aby go spalić. (Przyp. Aut.)

szkadzał mu do pracy. Od siódmej do trzeciej w nocy już wyłącznie pracował nad dykcjonarzem. Sypiał po tym pracowitym dniu wybornie i budził się o ósmej rano rzeźwy, aby zaraz znowu pracy się oddać.

Southey, choć poeta, więc człowiek, który do pracy potrzebuje pewnego nastroju ducha, nazywanego natchnieniem, pracował ogromnie. Zostawił też po sobie więcej, niż sto tomów dzieł w różnych przedmiotach, a do kwartalnika: *Quarterly Review* napisał sto trzydzieści obszernych prac.

Schillera zalicza też Smiles do wielkich pracowników, jakkolwiek literacka jego spuścizna nie posiada tej objętości, co dzieła Southey'a, ale żył on krócej, niemniej okazywał silną wytrwałość charakteru przy pracy, bo wszystkie te jego dzieła, które zapewniły mu tytuł wielkiego poety, pisane były w przeciągu piętnastu ostatnich lat życia, gdy cierpienie wytręcało mu często pióro z ręki.

Wszyscy ludzie wielkich talentów, byli ludźmi wielkiej pracy, bo czuli wielkie zamilowanie do pracy tej przedmiotu, który ich porywał, unosił i nie byli to bynajmniej najemnicy dla chleba, dla zysku, bo odebrali to uświęcające dotknięcie ducha, które czyni z ludzi kochanków ideału i daje im kosztować takiego zadowolenia, takich wzniosłych rozkoszy w tworzeniu, że płaci im to za wszystko.

Calderon i Lopez de Vega należą do najpłodniejszych pisarzy świata. Calderon zostawił po sobie w literaturze hiszpańskiej około czterystu dramatów, a Lopez de Vega dwa tysiące. Ten ostatni tworzył tak, jak mówią wielcy mówcy: z natchnienia, bez żadnych uprzednich studiów nad przedmiotem, bez żadnych trudów tworzenia. Był to rzeczywiście improwizator, sam to przyznał w sielance *Claudio*, jednym z ostatnich już jego utworów, że między jego dramatami jest najmniej ze sto takich, których napisanie kosztowało go dni kilka. Pracy literackiej poświęcił pięćdziesiąt lat życia, ale też napisał blisko dwudziestu milionów wierszy takich, które zostały drukowane, oprócz dwudziestu jeden tomów in quarto różnych prac mieszanych.

Jedynym z nowożytnych pisarzy, którzy w płodności i szybkości pracy równać się z nim mogą, pisze Smiles, jest Walter-Scott. Nie wie on przecież o Kraszewskim, nie wie, jak zdolnym był napisać powieść na zwołanie (przyjaźni), niemal w dni kilka. Wiemy o jednej takiej. Przysłał ją redakcyi pisma, którego był stałym współpracownikiem, zaczęto ją zaraz drukować; gdy przecież przy drugim rozdziale przedmiot pokazał się drażliwym, niemożliwym do dalszego drukowania, napisano do niego z kłopotem: co tu robić? On zażądał przesłania rękopismu napowrót i napisał odpowiednią do wydrukowanego już początku powieści zupełnie innej treści, którą w całości wykończoną, otrzymała redakcyja tak prędko, że tylko w jednym numerze pisma, które jest tygodniowem, nastąpiła przerwa. Gdy się weźmie na uwagę czas potrzebny na listy między Warszawą i Dreznem, na przesyłkę rękopismów, można twierdzić, że napisanie powieści, wprawdzie jednotomowej, nie zajęło mu więcej nad tydzień czasu. A trzeba tu jeszcze dodać, że trud ten cały został podjęty poczciwie, z dobroci serca. Siła twórczości była tak wielka, że zrobił to przez życzliwe dla redakcyi usposobienie, jak przysługę przyjacielską, która mu się zbyt wielką pracą nie wydała.

Walter-Scott w peryodzie największej swej płodności, w peryodzie *Waverley'a*, produkował po dwanaście tomów na rok. *Ivanhoe*, *Klasztor*, *Opat*, *Kenilworth*, wszystko arcydzieła w zakresie swoim zostały napisane w jednym roku. Tworzył więcej, niż zdołał pisać, i to go niecierpliwilo, narzekał na to. Gdy był słaby i położył się musiał, a miał w głowie gotową już kreacyę przepięknej swej powieści: *Narzeczona z Lamer-mooru*, przyzwał na pomoc dwóch przyjaciół, którym dyktował. Dyktował tak szybko, że trudno im było wydażyć i czasem prosili, aby się zatrzymywał, a jednak choroba: kurcze żo-

łądka, zadawała mu tak wielkie cierpienia, że czasem ból zmuszał go do zamilknięcia na chwilę i wyrwały mu się z ust jęki. Ale nie dał się oderwać od tworzenia, gdy go raz opanował duch twórczy. Przy opisach ludzi, lub krajobrazów dyktował wolniej, widocznie malował sobie rzeczy w myśli i oddawał w słowach to, co zostało stworzonem i widzianem w wyobraźni, ale gdy przyszły rozmowy, porywał go już takie uniesienie, że najbardziej cierpiący przed chwilą i przewracający się po łóżku z tłumionym jękiem, zrywał się, chodził po pokoju i wcielony w postacie, które rozmawiały, tak szybko i w taki zupełnie sposób dyktował, jak gdyby to on rozmawiał—unosił się, śmiał, cieszył. *Narzeczona z Lamer-mooru*, może najtragiczniejsza z jego kompozycji—dzieje miłości nieszcześliwej, pełne scen tkliwych i smutnych, wtedy stworzona została, choć często musiał zażywać opium, gdy cierpienie było tak silne, że zwyciężały człowieka.

Walter-Scott zostawił po sobie siedmdziesiąt cztery tomy powieści, dwadzieścia jeden tomów poezyi, trzydzieści tomów szkiców historycznych i biografii, z czego przecież odrzucić trzeba dziewięć tomów życia Napoleona, którego nie można uważać już za tworzenie literackie, bo była to smutna praca dla zarobku: podjęta dla pieniędzy, dla zapłacenia długów, na obstalowanie księgarskie. I kto wie, czy pisał tu tak, jak byliby napisał w położeniu innym? Smiles, jako Anglik, nie czuje tego, lub może dotykać tylko nie chce, że dzieło to nie wyszło z tego ducha gorących natchnień, które były tak poetyczne i szlachetnie piękne. Byliby inaczej spiorunował to, co piornów potrzebowało, poeta byliby nieraz porwany uniesieniem nad wielkością tego człowieka, nad szerokością widnokręgów, które orlym wzrokiem ogarniał, byliby miał zgrzyt gniewu na jego zdracę, na podłość jego więziennego oprawcy, gdy nędznie dręczył tego Prometeusza pokutującego na skale. Smiles wspomina przecież, że była to praca smutna, pod którą człowiek się uginał. Napisał dziewięć tomów w przeciągu jedenastu miesięcy, tak, jak orzekała umowa z wydawcą, ale współcześnie napisał *Woodstock'a*, uciekając na odpoczynek ducha w świat innego tworzenia, szukając w nim sobie uchrony przedtem, co mu to było robotą karną i męczenniem się okrutnem: „taking refuge from drearier labour.“

Smiles dodaje, że obok pracy literackiej, spełniał Walter-Scott obywatelskie i dla przyjaźni miłych mu osób ponoszone trudy. Był szeryfem, to jest sędzią pokoju swego hrabstwa; był właścicielem ziemskim, nie uchybiającym obowiązkom sąsiedzkiej zażyłości i gościnności; odpowiedował z mnóstwem osób i był w stosunkach piśmiennych z bardzo wieloma pisarzami i wyższymi ludźmi poza granicami kraju. Był—zakończa Smiles, „odważnym, pracowitym, doskonałym i szlachetnym dżentlemenem!“

Ale nietylko ilość dzieł daje pisarzom sławę i zyskuje im nieśmiertelność. Montesquieu potrzebował dwudziestu pięciu lat na napisanie swego wielkiego dzieła *Esprit de Lois*. Ariost lat dziesięć tworzył poemat *Orlando Furioso*, który, dodaje Smiles nawiasem, miał w pierwszym wydaniu sto exemplarzy, za które poeta wziął od księgarza coś jak po złotówce. Choć Shakespeare, Dante, Byron, Goethe i inni wielce pisarze pisali najczęściej szybko i w uniesieniu, pracowali po większej bardzo starannie swoje dzieła. Smiles, który zaraz na początku dał tego dużo przykładów, dodaje jeszcze Alfieriego, Shelleya i innych. Dalej, jako dowód wielkiej pracowitości wszędzie, gdzie była wielka sztuka, cytuje długi szereg muzyków. Haydn, oprócz sześciu oratoryjów, stworzył sto sześć symfonii, dwieście dzieł koncertowych, osmdziesiąt trzy kwartety na skrzypce, szesnaście sonat na fortepian, piętnaście mszy, czternaście oper, sześćdziesiąt dwie piosnki, wspaniałe „Te Deum“ i „Stabat Mater Dolorosa“, przyczem przyznawał, że rzeczy uznane za najlepsze poszły mu najprędzej. Händl tworzył podobnie prędko i ciągle, a siła twórcza nie została mu odjętą wtedy nawet, gdy był na poły sparaliżowanym. *Moyżesz* powstał

w przeciągu dwudziestu trzech dni, *Izrael w Egipcie* kosztował dni dwadzieścia siedm.

Mozart tworzył jeszcze łatwiej: *Wesele Figara* pisał miesiąc; wielki śpiew drugiego aktu zajął mu tylko dwie nocy i dzień. *Don Juan* kosztował go sześć tygodni czasu, jakkolwiek cały przedmiot już miał w głowie; przecież nie było uwer-tury jeszcze w wigilią zapowiedzianego przedstawienia. Siadł do tworzenia jej o północy i nazajutrz rano była gotowa, rozdano ją kopistom; ale było tu tyle pracy, że dzień jeden starczył nie mógł i tak zarwano wieczora, że rozpoczęcie przedstawienia spóźniło się o trzy kwadransy. Gdy przyniesiono nakoniec nuty, orkiestra grała je bez żadnej próby, przecież całość wyszła wybornie, bo natchnienie mistrza wstąpiło w wykonawców. *Flet Zaczarowany* był też pisany z wielkim pośpiechem i zabrał ledwo kilka tygodni czasu, bo Mozart był zawsze zapracowany i często chory ze zbytku pracy. *Łaska Tytusa*, zaczęta w podróży i także na termin, została napisaną w osmnaście dni. Ostatnie dzieło, *Requiem*, pisał już na łożu śmierci; a śpieszył się i teraz jeszcze, aby skończyć. Pisał niemal do tchu ostatniego.

Geniusz tu przecież jest siłą, praca środkiem tylko. Geniusz jest to jakaś wewnętrzna energia, jakieś coś, oddzielnego od istoty człowieka. natchnienie wrodzone. *Poeta nascitur not fit*. Cierpliwość i praca to tylko ścieżki jego, inteligencya artystyczna jego narzędzie. Tchnie, gdzie chce i w Starożytności uważano ludzi natchnionych za istoty nadnaturalne, jak też jest rzeczywiście. Człowiek genialny to widun, to kapłan, to bohater!

Michał Anioł posiadał najzupełniej to, co nazywają *drugim wzrokiem*. W kawale marmuru widział już posąg, który ma odtworzyć, nie potrzebował modeli, nie rysował sobie dzieła, noszonego w wyobraźni, chwycił młot i dłuto, łamał kamień i nadawał mu kształty swego natchnionego widzenia. Jest podanie, że Paisiello w uniesieniu twórczem rzucił się pod kołdrę, zasłaniał oczy, aby wypędząć sobie z pamięci wszelkie estetyczne reguły, jakim powinno być wielkie dzieło muzyczne.—„Matko najświętsza!—wołał—niech zapomnę... niech zapomnę, żem jest muzykiem. Palestrina podobnie błagał Boga o natchnienie. Na oryginalne jego mszy, napisanej dla Papieża Marcellusa, znajduje się napis: —„Domine, illumine oculos meos...“

Mimo tego jednak, co przyznaje sile natchnienia, Smiles jeszcze raz wraca i z naciskiem wielkiem do znaczenia pracy we wszystkich wielkich, nieśmiertelnych dziełach człowieka. Ona to jest ten młot, to kamień obrabiające dłuto Buanorottegę, które dobywa z głazu proroków i madonny.

Jest jeszcze jeden i potężny wpływ, potężne oddziaływanie na twórczość artysty—powiew, który mu przynosi jego ideę artystyczną, który w nim zapala iskrę w piersi noszoną: to czas, w którym żyje. Nie jest to dziełem wypadku, że naprzykład Epoka Medyceuszów wydaje Włochom: Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Perugina, Rafaela, Sebastiano del Piombo, Tycyana, Correggia, Luiniego; że w innym wieku świeci naraz Niemcom taka konstellacya, w której jest: Klopstock, Goethe, Lessing, Wieland, Schiller, Schlegel, Fichte, Jan Paweł Richter, Herder, dwaj Humboltowie; gdy znowu Francya ma w epoce wielkiej rewolucyi szeregi całe bohaterów i żołnierzy, a u nas odzywają się razem trzy wielkie głosy natchnionych poetów, razem rodzi się Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i Lelewel, mają wkoło siebie satelitów, jak Zaleski, Gaszyński, Goszczyński, Pol, Bielowski. Asnyk schodzi się tu z Smilesem, gdy woła że wiesz—że każdy wielki twórca w dziedzinie ideału, potrzebuje mieć „serca ludzkie za piedestał...“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

P. Róża nie przywiozła sobie ze świętego miejsca pociechy i ukojenia serdecznego, lecz przeciwnie, wróciła do domu z bolącą ciężko głową, z bolącym ciężko sercem, które jej ukłóto i napełniono goryczą okrutną. Nie było to żadne święto uroczyste, ludzie nienależący do parafii trościenieckiej, szli w pole do roboty, jak w każdy inny dzień powszedni. P. Michał, który sobie wyobrażał, że i on też coś robi, że jest mimo Stanisława przy gospodarstwie potrzebnym, nie pojechał z żoną, którą tylko z wielkim zadowoleniem wsadzał do starego powozu, zaprzężonego teraz parą dobrych koni. — Dziękuję ci, kochanku, bardzo ci dziękuję, że ta myśl kupienia koni, szczęśliwie ci do głowy przyszła — mówił do Stanisława, gdy powóz z miejsca ruszył. — Ja, widzisz, stary jestem i jakoś nie wpadłem na koncept, że będzie można zapłacić to jesienią, pieniędzmi za siano wziętymi. Dziękuję ci też teraz, żeś to skombinował tak rozumnie i teraz moja jeźmość dobrodziejka porządnie sobie jedzie...

— Będzie się modlić za naszego Stasia — westchnął biedny stary na zakończenie.

I p. Róża jechała ze słodką myślą o tej modlitwie, która była dla niej cichym wylaniem swego smutku i nadzieją, że Bóg ją może usłyszy. Wyjechała wczesną godziną poranku jeszcze o chłodzie, aby zdążyć na pierwszą wotywę, zanim zrobi się w kościele ścis i gorąco, a głównie zanim się zbiorą tam ludzie, z którymi w osamotnieniu jej i biedzie powoli pozrywały się stosunki bliższe. Wprawdzie wszyscy szanowali ją bardzo, mieli dla niej współczucie nieklamane, ale węzły zażyłości dawnej rozluźniały się powoli; ona, smutna i uboga, trzymała się na boku i zapomniano o niej. Gdy przecież ktoś ją gdzieś ujrzał, gdzieś w kątku, gdzieś na stronie, zrywał się z żalem, z wyrzutem sumienia, i biegł do niej, ręce całował, o zdrowie, o wiadomości od syna pytał i wzruszał, nieraz z oczu biednej matki łzy wydostał, a ona, choć wdzięczną za to była, wolała jednak tego unikać.

Już wyszła niejako z kolei dawnych sąsiedzkich stosunków, na co składała się tak bieda, jak i wiek. Syn w naturalnym biegu rzeczy byłby się stał dla starych rodziców łącznikiem, wiążącym ich ze światem; ale gdy łącznika tego zabrakło, musiała przyjść na nich samotność i ta niepamięć ludzka, która się zwolna bez złej woli, ale ze słabości natury człowieka w takich okolicznościach wyrabia. Im było prawie z tem lepiej; ubóstwo ich i smutek miały spokój cichy, lecz był dom jeden, odwieczną przyjaźnią i stosunkami najbliższego sąsiedztwa z niemi związany, z którym zwłaszcza p. Róża pragnęłaby była dawną zażyłość, dawny związek utrzymać. Ale na miejscu nic nie stoi, i tu właśnie zaczęły zachodzić zmiany, bardzo dla niej bolesne. Pięć lat dobiegało właśnie, jak Stanisław Rudawiecki strony rodzinne, rodziców i narzeczoną pożegnał, a pięć lat, — to długi czas na dotrzymanie wiary nieszczęściu. Nie złamała jej wprawdzie ukochana, ale złamać ją chcieli za to ci, którzy do niej prawo mieli. Wujenka zaczęła się nudzić ofiarą przybranej córki: wychowała ją, karmiła, odziewała przez lat tyle i nie w byle jakie sukienki, trzymała do niej guwernantki z najczystszy francyzkiem akcentem, wozila ją do miasta dla muzyki i tańca — i czyż za to wszystko nie miała nic w zamian otrzymać? Dzieci, czy rodzice, czy przybrane, powinny się przecież rodzicom, wychowawcom swoim wywdzięczyć, przynosząc im z siebie pociechę, dając im szczęście,

a jakiejże-to pociechy, jakiego szczęścia można się było doczekać z tej wędniejącej w tęsknocie, z tej noszącej się czarno, jak wdowa?

P. prezesowa, bo tak zwano ogólnie wujenkę p. Wandy, której mąż nieboszyk był przez czas pewien prezesem jakiejś komisji obywatelskiej, może doзору kościelnego — pani prezesowa poczęła najpierw wyrzekać w domu, potem zalić się sąsiadkom, aż nakoniec pomyślała, że już poświęcała aż zawiele z tego, co należało jej się od przybranej córki. Pojechano do miasta na wystawę i wyścigi, bo czyż ona żadnej już rozrywki użyć nie ma? P. Wanda, w dalszym ciągu obowiązków córki, musiała się świetnie ustroić, musiała okazywać się bardzo grzeczną i uprzejmą dla p. Romana Kalinowskiego z Kalinowa, wielce eleganckiego i światowego młodego pana, który niedawno w okolicy osiadł i niewiele o niej wiedział, z ludźmi, nie zapoznawszy się jeszcze do brze, zwłaszcza, że nie z każdym zapoznać się chciał. Z p. prezesową w mieście się dopiero spotkał; podobały mu się jej cugi i slugi, podobała mu się panna i, z tytułu sąsiada o parę granic, attencyą swoją jej złożył i został bardzo uprzejmie przyjętym.

Wkrótce wielkie łaski sobie zjednał dla synku i pańskiego tonu, przytem umiał być przyjemnym i pożytecznym — umiał dawać tak dobre rady codo przepędzania czasu, że nigdy nudów nie dopuszczał i okazał tyle zalecających go przymiotów, że stosunek nie zerwał się wraz z wyjazdem z miasta. Wyjechano razem, bo przecież mieszkano w jednej okolicy, i jechano też w sposób bardzo wesoły i przyjemny; popasy i noclegi nie były już nigdy przykre i nudne, bo grzeszny sąsiad starał się rozweselać je i, oile można, wygodnemi uczynić, a p. prezesowa odżyła w tej atmosferze, oddawna upragnionej. Nareszcie zrobiło się koło niej dwornio i wesoło, nareszcie klasztorna cisza została rozpędzona. Za czasów jej młodości ludzie bawili się; wizytowano się, zapraszano, zjeżdżano się do miasta w pewnych porach i kawalerowie krążyli koło panien, jak motyle koło kwiatów, niekoniecznie z jakimś już zamiarem, ale tak: dla względów sąsiedzkich, dla okazania należytej attencyi — dla zabawienia się i używania młodości, i p. prezesowa, choć musiała przystać na zmiany konieczne, nie chciała przystać na to, aby w tem przesadzać, — jak mówiła, — patrząc na przybraną córkę z wyrzutem.

Dodawała, że dziś młodość i sama żyć nie umie i innym jeszcze życie przykrem czyni, lecz zaczynało się to jakoś naprawiać. — Moja Wandzia sensatką jest trochę — powiedziała p. Romanowi — ale to głównie z powodu, żeśmy się zasiedzieli na wsi. Mój nieboszyk mąż był już człowiek w wieku, ruszać się z domu nie lubił.

P. Romanowi Wandzia podobała się bardzo taką, jaką była, ale i on nie należał do tej młodzieży z epoki p. prezesowej, która wśród światła i cieni swoich, miała tę właściwość, że się zapalała, choć czasem słomianym ogniem. Nie był pewnym, jakim ostatecznie był stosunek przybranej córki i matki i nie chciał się *awansować*. Na gruncie rzecz się da zbadać lepiej, myślał, i postanowił działać pomału. Za powrotem pań do Porzecza, wizytę złożył, a nawet zaczął bywać, jak zauważono w okolicy, ale nic nad to jeszcze nie było. P. prezesowa wyraźnie powiedziała Wandzi, że heroizmem wiecznie żyć nie można, że pięć lat straconych w życiu, to rzecz niemała, że wreszcie ma już rok dwudziesty trzeci i że zatem jej dawne przesiadywanie w Rudawicy nie może mieć teraz miejsca. Ona sama nie pojechała tam po powrocie z miasta i p. Wanda wykradać się tylko musiała, aby tam wpaść, ręce p. Róży ucałować, u kolan jej wylać łezkę tesknoty, z której w domu czynionoby jej zbrodnią. — Rzeczy, które do niczego nie prowadzą, nie powinny nam życia bałamucić — mówiła sentencyonalnie prezesowa, a przybrana córka słuchała w milczeniu. Gdyby była córką rodzoną, postąpiłaby może inaczej, byłaby do kolan mateczynych przypadła i objęła je z płaczem, wyznając, że miłość, którą ma w sercu, żyje tam i jest — być już masi dołą i niedołą jej życia i może nawet byłaby dodała w uniesieniu:

— A obowiązek matko... a świętość, wiary, któ-

rej nie godzi mi się łamać może więcej, niż gdybym ja u ołtarza przysięgała?...

Byłyby przytem i strugi łez, i całowanie rąk mateczynych, ale tu tego być nie mogło. P. Wanda czuła gniotący ją dług obowiązku, o którym jej nieraz przypominano, czuła się skrupowaną i na duchu upadła, nie tak przecież, aby nie powiedziała sobie, że nic i nigdy nie zmusi jej stać się wiarołomną i nieuczciwą. Tylko biedaczka tchórzyła przed tą chwilą strasznego przejścia, gdy będzie musiała wyrzucić już z ust te słowa, gdy jawnie i głośno wypowiedziane sprowadzą na jej głowę grad wyrzutów, gdy jej wyliczą zaczynną, ile-to lat jadła chleb łaski, i ona może uczuje się w sobie rzeczywiście niewdzięczną i zadłużoną, że nie ma czem wypłacić się za to, co odbierała...

Tchórzyła przed tym momentem ciężkiej przeprawy i czekała chwili okrutnej z milczącą skrytością niewolnika. Dla p. Romana była grzesznie zimną i biernie posłuszną ciotecę, — grała mu, śpiewała, kładła w spodziewany dzień jego odwiedzin suknie, jakie jej nakazywała strategia ciotki, lecz w dni szczęśliwej swobodnie chwyciła możliwie wolną chwilę i wymykała się do p. Róży, nietylko już, aby się przytulić do jej serca, aby dostać od niej ciepły i prawdziwie macierzyński pocałunek na czoło, lecz może głównie dla zapobiegnięcia tej rzeczy okrutnej, aby serce biednej kobiety nie zaczęło tracić wiary w stałość, w wierność jej uczuć — aby i jej nie dotknął zarzut zmiennictwa.

Rzecz mogła się przecież wydać; ktoś przypadkiem mógł zdradzić przed ciotką biedną amazonkę, ale ona już wiedziała, że stoi na samej krawędzi tego brzegu, który był dotąd gruntem jej życia. Co z tego wyniknie?... już ona to przyjmowała z góry, z tą tylko pewnością, że nie zdrada, nie nikczemna słabość z jej strony.

Na odpust do Trościenicy jeżdżono tradycyjnie z dworów okolicznych. Jeżdżono tam i z Porzecza, jeżdżono z Rudawicy, a dawniej umawiano się zwykle razem, i razem przybywano, tak też na pierwszą wotywę, jak teraz jechała p. Róża bardzo szczęśliwa, bardzo wzruszona, że tam jedzie.

Droga szła głównie lasem, świeżość poranku jeszcze była w powietrzu i oddychało się lekko, wciągając w pierś aromatyczną woń ziół, przytem dużo ludzi ciągnęło w tę stronę i, wyjechawszy z lasu, widać ich było na wszystkich drogach i dróżkach, a jedną ciągnęła kompania z sąsiedniej parafii, z chorągwiemi, z krzyżami, śpiew pobożny kilkudziesięciu głosów rozlegał się uroczyście i p. Róża już tu modlić się zaczęła.

Miała łzy na oczach, ale łzy, które nie boją. Zadowolenie z tego, że pojechać mogła, brała za jakieś przecucie dobre i zdawało jej się, że jedzie na miejsce święte po coś miłego, dobrego...

Zwykle dworskie powozy zajeżdżały przed jezdnią, główną bramę, od której droga dość szeroka wiodła prosto do drzwi kościelnych. P. Róża nie miała lokaja, aby jej otworzył drzwiczki powozu, które — mówiąc nawiasem — odmykały się niełatwo, jak wszystkie na świecie zamki stare, poczynając od tych, które są w sercach ludzkich i strzegą złożonego tam skarbu, którego przecież nikt kraść nie chce. Ale przed bramą stała kupka ludzi, był między nimi kowal z Porzecza, był jakiś ekonom też z poblizka i jeden z drzwiczkami się załatwił, drugi p. Róży wysiąść pomógł, i ona, podziękowawszy im grzesznie, poszła prosto przed siebie, dając po drodze po kilka groszy zebrzącym dziadom i mówiąc każdemu z nich, nie bez wzruszenia pewnego: — Do wspomnienia Bożego... Dziady zaraz zaczynały pacierze i ona nie uważała, nie słyszała, że zaraz, skoro tylko w bramę weszła, głos gromki krzyknął na jej woźnicę Osipka: — A z drogi tam... i przed bramę zajechał powóz drugi, lecz inny, a inny zgoła, niż jej landara biedna, przez Stanisława jakotako podreparowana: nowy, elegancki powóz — wiktorya otwarta z zaprzęgiem czterech siwych koni, z lokajem i stangretem w galonach, który zdaleka z bicza trzaskał, ludzi z drogi swej spędzając.

W powozie siedziały w głębi dwie panie, z o-

twartemi na poranne słońce parasolkami, a tuż za powozem jechał koczyk wytworny: faeton, wybity pasowym aksamitem, zaprzężony w parę koni karych, a w nim młody, trzydziestoparoletni pan, przystojny brunet, który się szybko przy drzwiczkach wiktoryi znalazł i paniom rękę przy wysiadaniu podał.

Był to p. Roman, a panie, którym assistował, były z Porzecza. Panna Wanda w kremowej, delikatnej toalecie miała niezmiernie elegancki kapelusik na głowie, miała zatknięty za pasek piękny kwiat, różę jakąś osobliwą, którą dla niej przywiózł z Kalinowa p. Roman, a którą ona zatknęła posłusznie za pasek, gdy p. prezesowa rzekła jej z wesołym uśmiechem:—Ustrój-że się, Wandziu, w tę śliczną różę... będzie ci w niej ładnie.

W ogrodzie porzeckim, który miał sławę na okolicę i ogródka aż z Warszawy, było kwiatów wiele i niepospolitych, ale ta róża, której nazwa była podobno „Wiktorya Regina,” wydała się p. prezesowej szczególniejszą i piękną, a siostrzenica zyskała w jej oczach na wdzięku, mając ją przy boku. Pocałowała ją na wyjeździe i przez całą drogę była szczególniejszą rozmowną i wesołą. — Dobrze dziś wyglądasz — powtórzyła kilkakrotnie — bardzo dobrze...

Ale, przeciwnie, p. Wanda wyglądała dziś źle, bo była bledszą, niż zwykle i miała siwe obrączki pod swemi pięknymi oczyma. P. Roman siedział wczoraj w wieczór dłużej, niż kiedy, ona grała i śpiewała. Okna były otwarte na ogród i płynęło ztamtąd powietrze, już od rosy nocnej wilgotne, więc jej głos, który zrazu zdawał się zimnym i jakgdyby twardym nieco, zaczął potem stawać się rozciąglonymi brzmieniem, zwłaszcza przy jednej ary włoskiej. P. Roman, który dla przysługi odwracania nut stał nieco w tyle poza nią i patrzył z góry na jej piękną, kształtną głowę, na jej bogate włosy czarne, na szyjkę delikatną, która się wylaniała wdzięcznie z pośród jakichś jasno - liliowych muślinów — p. Roman zaczął trochę doznawać napadów sentymentalizmu, zaczął zapominać o wątpliwości: czy akt przyjęcia p. Wandy za dziecko został kiedy, i w jakiej formie sporządzony przez nieboszczyka prezesa, wspólnie z żoną? Coś mu chodziło koło serca. Jakgdyby miał chętkę osunąć się przed p. Wandą na kolana, a przynajmniej rączkę jej, widzielną w półświecie na klawiszach fortepianu, swoją ręką przykryć i zatrzymać ją, wziąć w uścisk dłoni, która stawała się gorącą. Gdyby nie było naprzeciwko nich p. prezesowej tak zadowolonej, że można było powiedzieć, iż rosła na krzesle, możeby się było tak stało, i p. Wanda, którą włoska arya mimowoli rozmarzała i unosiła w kranie wspomnień, byłaby, ocknąwszy się z nich nagle rzekła mu wtedy poważnym głosem, że ona nie jest do miłości dla nikogo, bo ona już się uważa jakoby za poślubioną, jakoby za mężatkę.

Co byłby odpowiedział na to p. Roman, dowiadujący się nagle o tej niewiadomej mu rzeczy?... trudno zgadnąć naprzód. Ze przecież p. prezesowa była, i oczy jej działały trzeźwiaco, jak zwykle w takiej chwili oczy wszelkie, prócz tych w które się patrzyć pragnie: więc fakt nie miał miejsca i koncert skończył się nawet dość prędko, bo gdy, po skończeniu ary włoskiej, p. Wanda lekko się pochyliła naprzód, jakgdyby słuchając, w którą stronę świata płynie echo jej głosu, uciekającego przez okno, p. prezesowa, nagle też stając się romantyczną, przerwała ciszę.

— Wandziuniu — rzekła wielce macierzyńskim głosem — zaśpiewaj-no tę piosenkę Moniuszki. Tak... zdaje mi się że: Moniuszki? tę, którą często śpiewasz... tę... „Gdybym ja była gwiazdeczką na niebie...”

— Nie pamiętam już jej — odparła p. Wanda, nagle powstając od fortepianu.

— Jakże, duszko? Śpiewałaś bogdaj czy nie w tym tygodniu, wróciwszy ze spaceru. Pamiętasz... jeździłaś zdaje mi się konno, bom cię widział w amazonce. Był ksiądz proboszcz i grał z uim w ekartę, a tyś wróciła i siadła śpiewać...

— Zapomniałam — powtórzyła Wanda jakoś stanowczo i trochę twardo — zapomniałam.

Zegar zaczął bić godzinę jedenastą, więc pan

Roman począł się żegnać i całując tłustą rączkę p. prezesowej, powtórzył, co już proponował przy herbacie. że będzie towarzyszył jutro paniom na odpust do Trościenic.

Pani prezesowa nazwała to bardzo miłym spacerem o porannym chłodzie, uśmiechnęła się do p. Romana, poklepała potem Wandziunię po głowie, gdy ta jej mówiła dobranoc, a teraz patrząc na nią i na różę, którą miała za paskiem, powiedziała jej z zadowoleniem, że dobrze wygląda.

To ona, p. prezesowa, wyglądała bardzo dobrze, gdy z pomocą ramienia p. Romana wydołała się z powozu i stanęła przed otwartą bramą, wiodącą do trościenickiego kościoła. Chór dziańców widząc ją w całej wspaniałości surowych fularów z mnóstwem modnych węzłów i koronek, ozwał się pobożnym jękiem o grosze, obiecując wyprosić jej za to wszystkie łaski Boga, aż do korony niebieskiej, gdy ona tymczasem spojrziała przez bramę ku kościołowi wiodącą i ujrzała po za nią p. Różę, która przy rozdawaniu jałmużni zatrzymana, była ledwie na pół drogi do niejścia. na pół drogi do ich wspólnego celu, tak, że idąc musiały się spotkać ze sobą i dla prezesowej było to coś, jak zobaczenie bardzo przykrych mary. Mogła była dla uniknięcia niemiłego jej, szczególniejszej w obecnej chwili spotkania, zatrzymać się też i rzucić garść miedziaków proszącemu biedactwu, coby było pozwoliło p. Różę wejść spokojnie do kościoła, i znalazłszy tam jakie miejsce poboczne, klęknąć i modlić się tak może, że oczy tych dwóch sąsiadek nie byłyby się spotkały nawet ze sobą, ale p. prezesowa nie należała do rzędu osób, które wolą ciszej niż głośniejszemu przesuwać się przez pewne przesmyki życia. Nie... ją na widok tej biednej siwowłosej kobiety, w wyświeconej, zrudziałej mantyli starej, zjął gniew, który podnieciło może i uczucie jakiegoś pomieszania. — Trzeba raz skończyć z tą niedorzeczną dwójnaczością — rzekła sobie nagle i zwróciła się do Wandy. — Viens, fillette... zawołała niby w szczególniejszym dobrym humorze i wzięła ją krótko pod rękę. — Pan będziesz tworzył straż tylną — dodała z uśmiechem, zwracając się do p. Romana. — Powierzam panu moją parasolkę.

Przekroczyła bramę, trzymając mocno Wandę, która też poznała p. Michałową. Szła ona dość powoli; nie była tu już dawno i używała niejako widoku, którego pragnęła. Wszystko było jej tu miłe, jak zwykle miejsca dobrze znajome a nieogładane już czas jakiś.

Zbliżała się właśnie do drzwi kościelnych, szeroko otwartych i ukazujących wewnątrz kościoła pełne ludzi, ukazujących w głębi ostatniej wielki ołtarz, cały jaśniejący od światła już zapalonego, bo ksiądz miał się właśnie ukazać. Chłopiec w białej komesze i dźwigający mszał, już się wysunął z zakrystyi i stał dumnie, wyczekując minuty, gdy miał pociągnąć za sznur od dzwonka przy drzwiach zawieszonych i, oznajmiwszy wejście kapłana, posunąć się za nim. Pani Róża objęła to wszystko okiem, którego spojrzenie zawisło pobożnie na gorejącym od światła ołtarzu i już zaczęła modlić się wzrokiem, gdy naraz uczuła, że się ktoś ostro i szorstko koło niej ociera, mija ją, nie obejrzawszy się nawet i ugle ujrzała prezesową, która prowadziła obok siebie Wandę i wciągnęła ją natychmiast we drzwi kościelne.

— Pardon — ozwał się teraz p. za nią głos, niby grzeczny, przecież pan z małą składaną parasolką kobiecą w rękę, też niebardzo grzecznie, bo dość niecierpliwie ją wyminął, aby spieszyć za uchodzącymi mu w tłum paniami.

Pani Róża uczuła niewymowny żal i smutek w sercu, nie z tego już powodu, że ją, ubogą, w wyszarzane suknie odzianą, ludzie, którym jest śpieszno, potrącają po drodze. Ją potrąciła dawna i bliska znajoma, a potrąciła dlatego, że zaważdała jej nie na tej tylko drodze, na której przy dobrej woli mogły się być minąć spokojnie.

Wiedziała, że w niej spychano gniewnie co innego: pamięć jej dalekiego syna, która przeszkadzała.

Usiłowała nie rozplakać się z żalu, z goryczy, z uczucia opuszczenia w starości swej samotnej, i zdołała wymódlz to na sobie. Cofnęła się nawet

od tych wielkich drzwi, przez które byłaby weszła, jeszcze przed chwilą, jakoś uroczyście, świadomie, mając przed sobą ołtarz tak palający blaskami jasnymi, jakgdyby to był prezesunek tego Pana, do którego ona cisnęła się z prośbą swoją. Poszła pokornie poszukać bocznego wejścia, pokornie się niem wsunęła, siwa kobiecina w starej mantynowej mantyli, której (dziwnem jest to biedne serce ludzkie!) zaczęła się nagle wstydić.

Raz pierwszy ogarnęła ją to uczucie smutne; raz pierwszy od czasu jej biedy, jej zubożenia, zawstydziła go się, jak winy. Zachwiało się w niej coś — w niej, biedaczce poniżonej!...

Ale łaskawym trafem losu, zaraz przy owych drzwiach, które weszła, poznała ją baba jakaś, uczciwa baba wiejska, i pchnąwszy kułakiem parobków, których plecy mur przed idącą czyniły, krzyknęła im do ucha, aby puścili panią z Rudawicy. — Tam pod amboną, jest jak raz laweczka pusta i niech tam wielmożna pani siada... objaśniła ją. — Posesorka z Krzyżan tykoko ztamtąd wyszła i jeszcze nikt nie wlaźł... Niechno wielmożna pani ino idzie, bo się kto tam wtłoczy.

Ludzie ją znali — i ją, i jej biedę, i jej dobrodla swego ludu, więc chętnie śpieszono jej z posługą. Nietylko ów stary kupiec z miasteczka nazywał ją *imoscia*, którą do rany przyłożyć można: jej słodka natura dobrej kobiety, przykładła się do niejednej rany ludzkiej, a nigdy nie rozjątrzyła żadnej: nigdy nie posypała jej żrącym żarem pogardy człowieka i zyskała też sobie serca tej rzeszy ubogiej, która dotrzymała jej może najwierniej przyjaźni swej uczciwej. Przytem każdy co zna wieś i lud wiejski, wie to doskonale, jak chłop czuje litość szczerą i nieklamana nad losem podupadłego, zubożonego szlachcica, takiego zwłaszcza, o którym się mówi, że jest pan z panów. Zachowawcą on jest, arystokratą na swój sposób: nowych ludzi nie lubi, mało im ufa, drwi szczególniejszej, gdy chcą dąć dumnie. — Widzita go — mówi — podrzeźniając ruchy wyniosłe i jest to rys charakteru ludowego ogólny, powtarzający się wszędzie i niezawsze nawet drugie pokolenie świeżo zubożonych wkupi się w łaskę ludu wiejskiego. Pokrzywdzony lub w ludzkiej swej godności urażony przez szlachcica, spali on go, mścić się na nim będzie nieraz okrutnie, ale to co innego: rachunek inny to jest i między swoimi. Spekulant z miasta, spanoszony propinator i tym podobny człowiek, jest mu solą w oku i czuje się upokorzonym, skoro musi mu ulegać, gdy szlachcic wczoraj zagonowy, który dziś do koła fortuny się dorwał, już sobie approbatę jego zyskuje, jeżeli tylko majątek ów został zarobionym uczciwie i bez krzywdy ludzkiej. A ponieważ panów na Rudawicy mogli ludzie lubić, szanować rzeczywistocie, otaczała ich więc sympatya ogólna. Nie wylaczało to wypasania im łąk i rozbierania płotów gdzie się dało, niemiłosierdnego cięcia lasów, ale to co innego: w wieśniaku pokutuje jeszcze jakieś kommunistyczne pojęcie starego opola które przedstawia im wieś, i ta poczciwa baba, która się na opiekunkę p. Róży obrała, nie była wcale wyjątkowo uczuciową osobą. — A zginiście tam ludzi, niech wielmożną panią przepuszczą pod amboną — dodała parobkom, od których rozpoczęła pierwsze torowanie drogi dla rudawickiej pani — zginiście tam... i tak poszło aż do końca. Ten, co stał, w tyle, mówił to tym, co byli na przodzie, a ci, co to usłyszeli, powtarzali jak hasło, aż się pani Róża do maleńkiej laweczki, pod amboną bezpiecznie dostała. Właśnie kroczył do niej ktoś, jakiś wójt z okolicy, ale zobaczywszy p. Michałową, cofnął się i tylko jej jeszcze drzwiczki, na haczyk zewnątrz zamknięte, otworzył, bo wysoki był i łatwiej mu to przyszło.

Ona siadła, jak biedna gołębica strudzona, podniosła oczy na ołtarz i poczęła się skarżyć Bogu, że już jej bardzo ciężko, bardzo ciężko na świecie bez oparcia, bez podpory...

Nie wiedziała prawie, jak i kiedy wotywa odprawioną została. Gdy ludzie zaczęli się podnosić na ewangelią ostatnią, wstała i ona: podniosła oczy przed chwilą na książkę od nabożeństwa spuszczone one, gdy wtem spostrzegła zbliżającą się ku sobie p. Wandę. Szła środkiem kościoła, śliczna, choć nieco blada, i uśmiechała się do

niej miłym, słodkim uśmiechem, aż dostawszy się do ławeczki, schyliła się i pocałowała rękę, którą p. Michałowa na drzewkach ławki właśnie oparła.

Ręka była uwolniona z rękawiczki i ona pochylając się, przycisnęła do niej piękne swe usta, do pąka róży podobne—purpurowe, a w tej chwili bardzo gorące. Pocałowały one rękę starej matki drogiego jej człowieka pocałunkiem córki, i nic więcej do tego nie dodając, prócz spojrzenia miłości pełnego, p. Wanda zawróciła się w tył, i po tem tkiwem powitaniu poszła tak, jak przyszła, przeprowadzona oczyma tłumu, który patrzył ciekawie.—A to ją czci, jak matkę rodzoną — mówiły dziewczęta wiejskie, łokciami się trącąc. — A to uczciwa i wierna panna — powtarzał jakitaki między wyższą już nieco sferą dworskich i drobnej szlachty, która tu zaludnia niemal pół powiatu.

— *Viens* — rzekła jej sucho p. prezesowa, która przez ten czas już wytlómaczyła p. Romanowi, kto to jest ta siwa imość w ławeczce pod amboną.—Sąsiadka nasza, zubożała i bezdzietna, którą się Wandziunia z prawdziwie chrześcijańską miłością bliźniego zajmuje—mówiła, usiłując nadać głosowi swemu ton miodowo słodki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODRÓŻE NAUKOWE.

Kongo.

(Dokończenie.)

Przybywszy z Vivi do Banany i przebiegłszy posiadłości portugalskie, udaje się pieszo z San-Antonio do Nokki, przez kraj rozbójników Mus-sorongów, jednego z najzjadliwszych plemion afrykańskich. W przeddzień wyjazdu Portugalczyki, którzy się mogą poszczycić odwagą w przedsięwzięciu niebezpiecznych wypraw, żegnają go, jak człowieka udającego się na śmierć niechybną. Lecz młody i odważny podróżnik powraca szczęśliwie. Przebywa następnie kraj Mossamedów, wdziera się na przylądek Negro i odnajduje relikwią, którą oddawna uważano za straconą: słynną kolumnę kamienną wzniesioną około Padrini przez oficera portugalskiego Diego Cam, który w XV wieku odkrył ujście Kongo.

Baron Schwerin utrzymuje, że z załogą złożoną z czterdziestu Zanzibarczyków przebyłby Afrykę z północy na południe wzdłuż przez Saharę do przylądka Dobrej Nadziei.

Bardzo ciekawe są sprawozdania pó zwiedzeniu Kongo, pomieszczone w liście adresowanemu do „Moniteur universel“ pod datą 25 Czerwca 1887 r., przez odważnego misjonarza, który się tam udał w celu nawracania Murzynów z Huilla około portugalskiego Mossamedes.

„Opatrzność — pisze ten misjonarz — uposażyła kraj ten bardzo hojnie. Wszędzie prawie bujna i różnorodna roślinność, ptactwo o cudownem upierzeniu i dziczyzna najrozmaitszego rodzaju. Zajęcie ruinują nasz ogród, a przepiórek i kuropatw jest wielka obfitość. Spotkać się często można z lwem, tygrysem, panterą, rysiem, hyeną i innemi drapieżnymi zwierzętami, których ryk nie pozwala nam spać.

„Obok nich Negr, człowiek w stanie dzikim, mający za odzienie chyba tylko strzelbę na ramieniu. Jego czarna towarzyska ma na sobie fartuch szeroki na dwie dłonie dla okrycia nagości. Oto ludzie, których mamy nawracać. Mieszkańcy tutejsi nie są brzydzy, prócz koloru skóry, typ jest europejski. Są dobrze zbudowani i nadzwyczaj wytrzymali. Załatwiają posyłki z Huilla do Mossamedes (około 40 mil) za 5 fr., dźwigając czasem ciężar na ramieniu ważący 30 kilogramów. Nie kradną, lecz oddają się pijaństwu; za pół szklanki wódki każdy z nich gotów pracować

przez dzień cały. Są dosyć intelligentni, lecz za-bobonni do najwyższego stopnia. Gdy wpadną w złość, twarz przybiera zwierzęcy wyraz.

„Wsiadłem na statek portugalski Saint-Thomas, 6 Stycznia 1887 r. w Lizbonie wraz z czterema braciškami i pięciu siostrami zakonu Ś-go Józefa. Oficerowie załogi okazywali nam nadzwyczajne względy i pewnego dnia znalazłem się w Mossamedes; ujrawszy ten kraj piaszczysty, rozplakałem się, jak dziecko.

„Miasto Mossamedes, zamieszkałe przez jakiś tysiąc Europejczyków, jest dosyć przyjemnem i rozłożystem, ale ani jednego w niem drzewa, ani jednej rośliny nie dostrzeżesz. Zaledwie przed domem gubernatora znajduje się kilka wawrzynów podeschłych, z trudem utrzymanych, z powodu braku słodkiej wody, a deszcze prawie nigdy tu nie padają. Serce mi się ścisnęło na widok tego ubóstwa natury; lecz trzeba mieć od wagę dla innych. Precz zatem smutki i... *en avant!*

„Nikt nas na brzegu nie oczekiwał; dopiero nad wieczorem Czarny przybył z listem i wręczył mi go tajemniczo. Donosił mi, że z 10 wozów mających przybyć, trzy przeznaczono dla nas i naszych rzeczy. Trzy dni upłynęły zanim przygotowaliśmy się do dalszej podróży.

„W poniedziałek, 7 Lutego, podczas nieznosnej kurzawy i spiekoty oddaliśmy się o 1 kilometr od miasta, gdzie nas Boerowie oczekiwali. Gdy wszystko jest przygotowanem, Boer pali z barta wówczas woły ustawiają się w półkole i nadstawiają rogi dla nałożenia jarzma.

Nasz wóz ciągnionym był przez 14 par wołów. Nakoniec wjechaliśmy w puszcę. Około piątej, byłem zmuszony zsiąść z naszego ekwipażu, nogi mi bowiem skostniały. Przez całą długość drogi spostrzegam, przez mgłę kurzu, skielety wołów, wskazujące, jak trudną jest komunikacja.

Często bardzo zwierzę pada, ze zmęczenia i pragnienia, ale w tej chwili zastępują je innym, i jedziemy dalej. O pierwszej w nocy przybywamy do pierwszej stacyi. Niestety! brak tu wody, każdy wypija filiżankę kawy i układa się na piasku do spoczynku. Po raz pierwszy w życiu słyszałem wycie hyeny, lecz obok leżący rewolwer uspokaja mnie rychło.

„O trzeciej rano udaliśmy się w drogę, podróż odbywa się bezustannie w najgęstszym kurzu, jaki sobie tylko wyobrazić można. Dopiero nazajutrz o 6-ej wieczorem przybywamy do Pedra-Grande wielkich skał piaszkowych. U ich podstawy urządzono zagrodzenie dla utrzymania tych kilku kropli wody, jaka się sączy ze skały.

„Niema nawet jej tyle, aby wystarczyło na obmycie spieczonej twarzy słońcem i kurzem. Nie zły posiłek, służący zarazem za śniadanie, obiad i kolacją, wzmacnia nasze słabnące siły. Od wozu nie wolno się oddalać; „Senor Padre, powiada nasz Boer, jest tu wielka ilość lwów, oddalać się bardzo nie można.“ Chcieliśmy się przespać, lecz ryk i wycie dzikich zwierząt nie pozwala ani na chwilę spoczynku. Jeden z bracišków i siostra zachorowali ze zmęczenia.

„O jedenastej dalej. Minęliśmy Pedra da Providentia, gdzie ani kropli wody nie było. Zatrzymaliśmy się na kwadrans dla wypicia kawy. Cały dzień szedłem piechotą, wieczorem Boer wskazuje mi miejsce obok siebie, gdyż moje zajętem zostało przez chorego koleżę.

„Zacząłem usypiać właśnie, gdy Boer ostrzega, bym się dobrze trzymał, gdyż mogę spaść pod koła. Księżyc świeci przecudownie. Mój towarzyszyz dobywa naboje jednym nabija swą strzelbę, a drugi umieszcza między zębami. Naraz woły zaryczały w przeraźliwy sposób. Boer celuje, zwracam wzrok w kierunku lufy i spostrzegam dwa ślepiów, które mi w zupełności odjęły chęć spania, jednocześnie prawie slysze głos: „Nie strzelaj, jest trzech.“ W samej rzeczy trzech lwów podążało za nami i dopiero nad ranem przestali nas niepokoić. W godzinę później przybyliśmy nad brzeg strumyka. Rzucić się w strumień, by się pokrzepić i obmyć, nie myśląc o lwach, było dziełem jednej minuty. Zbitym zmęčeniem usiadłem nad wodą, aby wymoczyć w niej zbolale nogi. O 9-ej wyruszyliśmy do „Wielkiego Munino“. Przybyliśmy tu w Niedzielę, ściśle

święconą przez Boerów. Wświęto nie podróżuje się. Jeden wyśpiewuje psalmy akkompagnując sobie na akordeonie, drugi skutecznie obmywanie w *rio*.

Wypada dostać się na górę Chella, 1800 metrów wysoka. Już nikt nie myśli teraz o lwach. Trzeba iść pieszo, i to przed wozami. Wyruszyliśmy o 8-ej wieczorem, w pobliżu wozu nie wolno się znajdować, gdyby bowiem jeden łańcuch zerwał się, wszystko runęłoby w przepaść. Wstępujemy z wielkim trudem po niebezpiecznej drodze, pomagając sobie nawzajem, nareszcie, strasznie pomęczeni, o czwartej rano przybywamy na wierzchołek Chelli. Wozy, do których zdwojono liczbę wołów naciągają prawie jednocześnie. Pijemy kawę, każdy okrywa się jak może, gdyż zrobił się chłód przejmujący, i usypia spokojnie na twardej ziemi. O ósmej obudziłem się, nogi sprawiają mi nieznośny ból, trzewiki nie mają już podeszew, a pończochy w zupełności poszarpane. Jemy śniadanie z największym apetytem, mamy bowiem nadzieję przybyć wieczorem do miejsca przeznaczenia.

„O trzeciej spotkaliśmy bracišką misjonarza, który wyszedł do lasu dla zbierania drzewa; uradowało nas to spotkanie niezmiernie. Na chwilę zatrzymaliśmy się w Małem Munino, dla zabrania pomarańczy. Zaledwie opuściliśmy to miejsce, zerwała się straszna burza. Nigdy nie slyszałem, nawet w Antylach, podobnych piorunów; literalnie przebywamy ocean ogniowy, droga zamieniła się w strumień; niepodobna iść dalej.

Zmokłszy i przeziębawszy do szpiku kości, dostałem ataku febry. Sądziłem, że nadeszła ostatnia godzina. Lecz Boer zmusił mnie do wypicia wódki, w której znajdowały się liście Eucalyptusu, i po dwudziestu minutach przyszedłem do siebie. Zmuszeni przepędzić noc pod gołem niebem, dopiero nazajutrz zdążyliśmy przybyć do celu zamierzonego.

„Tegożsamego dnia rozpocząłem czynności. Za mieszkanie, co prawda, nie wyznaczono mi pałacu, lecz byłem tak zmęczony, że było mi zupełnie wszystko jedno, gdzie wypocznę, byle wypocząć.

„Była to skromna chatka bez dachu, gdyż słone wiatr porwał i daleko porozrzucił. Na szczęście, jesteście obecnie w porze suszy, ani kropli deszczu, niebo jasne, czyste, jak lustro weneckie. Co za niebo! Co za piękne niebo! Poranki są dosyć chłodne, za to dnie—gorącej wiatr piekący wszystko.“

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Trzydziestoletni jubileusz** pracy literackiej obchodził d. 19 Marca, zasłużony pisarz ludowy i redaktor „Zorzy“ Józef Grajner. Liczne grono literatów i ludzi umiejących cenić obywatelskie zasługi jubilata w bardzo ważnej gałęzi piśmiennictwa, zebrało się w redakcyi „Zorzy“ składając mu wyrazy swego uznania i świadcząc o nich upominek.

— **Pracownia Siemiradzkiego w Rzymie** na *Via Gaëta*, mieści się w jego własnym pałacyku: „Villino Siemiradzki“ naprzeciwko dawnego obozu rzymskich pretoryanów: „castrum praetorianum“, będącego dziś placem mustry kawalerji. Znajduje się ona na drugim piętrze, z kądem, a więcej jeszcze z tarasów trzeciego i czwartego piętra, otwiera się naprawo wspaniałe widok na cały Rzym, wprost na stare mury i wierzchołki Gór Albańskich. Bardzo obszerna, oświetlona doskonale, przepyszuje się przedstawia oczom gości, przez wspaniałe urządzenie, drogie makaty, któremi jest zawieszona i nagromadzone tam starożytności i skarby artystyczne. Zwiedzają ją niedawno korespondent *Wieku*, oglądał tam już bliżki ukończenia, a ogromny, na trzech stalugach mieszczący się obraz: „Bachanalie rzymskie“, i drugi, nieznanym nam jeszcze, świeżo wykończony: „Wizye Ś-go Hieronima“, dalej nowy wariant „Eklogi“, „Idylla nad morzem“ i bliżki

ukończenia: „Sąd Parysa“, wreszcie ostatnią kreacją mistrza, który właśnie nad nią teraz pracuje: „Fryne“, płótno dłuższe od „Świeczników Chrześcijaństwa.“ Fryne, postać zupełnie obnażona, w osłonie tylko jasno-blond rozpuszczonych włosów, której służebnica wiąże jej na nogach sandaalki, gdy inne gotują jej przybory do ubrania, zajmuje pierwszy plan obrazu. W głębi morze i skały eleuzyjskie.

Malowanie jest przepyszne i zdaniem wspomnianego korespondenta, sam już krajobraz starczyłby do pozyskania temu utworowi pędzla Siemiradzkiego pierwszorzędnego znaczenia wśród dzieł współczesnej sztuki. Siemiradzki przysłał go na wiosnę do Warszawy, i będzie to pierwsze miejsce, gdzie go publicznie oglądać będzie można. Na *Powszechnej Wystawie* paryskiej w 1889 r., sam ją umieści i wkrótce też wyjedzie do Paryża w celu porozumienia się z komitetem wystawowym.

Bardzo miłe, bardzo ujmujące wrażenie sprawia na czytelniku to, co korespondent pisze o rodzinnym ognisku Siemiradzkiego. Na obczyźnie, jest to przecież nasz dom—nasz najzupełniej przez wszystkie strony pędzonego tu życia. Dzieci, a jest ich dwoje, prześlicznych: synek i córeczka, mówią doskonale polsku i mają też nauczycielkę Polkę, pannę Wieliczko; chłopczyk, który ma lat cztery, oświadcza każdemu, nawet niepytany: „Jo sono Polacco!“ i powłósku wprost mówić nie chce. Starszy syn dla przeżycia w kraju tych lat młodych, których wrażenia urabiają człowieka, jest w Warszawie, pod najlepszą możliwie opieką, chodzi do gimnazjum i uczy się wybornie.

Siemiradzki pracuje zwykle dzień cały od rana aż do zmroku. W godzinach odpoczynku, przy stole rodzinnym, słucha czytanych przez p. Wieliczko dzienników naszych, zatem wie wszystko, co dzieje się u nas, i węzeł z krajem nie zrywa się dlań na tej dalekiej obczyźnie, gdzie przecież wyrobił sobie stanowisko wybitne i popularność taką, dorożkarz, wzięty z placu: *Piazza di Spagna*, gdy mu wskazano numer domu, do którego ma jechać, zawołał:—Si sa... il celebre pittore Polacco...

Dodać przecież trzeba, że tak sam Siemiradzki, jak i jego żona, Marya z Prószyńskich, prowadzą życie bardzo skromne i ciche, oddane po części pracy i obowiązkom rodzinnym.

— **Paryzka Wystawa Powszechna**, przygotowywana na rok 1889, więc w stuletnią rocznicę Wielkiej Rewolucji, pragnie mieć znaczenie dwójakie. Ze zwykłym zadaniem wystaw wszystkich, przedstawiających stan cywilizacji danego czasu i kraju, chce ona połączyć i cel drugi: historyczno-społeczne zobrazowanie okresu między 1789 a 1889 rokiem—ostatni wiek wewnętrznej życia i rozwoju Francji. Budowa gmachów przyszłej wystawy odbywa się ze względu na ten cel, i oto kilka ulic starego Paryża, stanowiących w 1789 r., otoczenie Bastylii, zostało odtworzonych, wraz z tą historyczną cytadellą, według starych planów i opisów, tylko w zmniejszeniu. Wnętrze tej nowej Bastylii małego formatu, pomieści w sobie muzeum pamiątek po tamtej dawnej, zburzonej przez lud paryzki d. 14 Lipca 1789 r.

Prócz tego malarze francuzcy pracują połączonymi siłami nad olbrzymią panoramą—obrazem Francji w wiekowym okresie jej dziejów. Kartony pojedyncze już są wszystkie gotowe i połączone razem utworzą obraz panoramiczny, jakiego nikt nie widział dotąd nigdy i nigdzie. W pośrodku na planie pierwszym dźwigać się będzie fronton świątyni z posągami Francji pod jego sklepieniem, a po za nią w głębi Voltaire, Rousseau, Montesquieu i inni wielcy myśliciele, którzy dokonali rewolucji umysłów francuzkich,

Z obu stron świątyni ukazują się kolumnady, bez końca długie, zaludnione postaciami wybitnych osobistości epoki. Z lewej strony na przodzie nieszczęsna para królewska: Ludwik XVI i Marya Antonina, stoją na balkonie, oparci o poręcz: w głębi zarysowuje się Bastylia; u dołu pod balkonem grupa politycznych działaczy chwili: Necker, Mirabeau, Lafayette, Sièyes. Dalej Karol Desmoulins, z zieloną gałązką w rękę, siedzi wierzchem na ballustradzie i przemawia z niej do ludu, zgromadzonego przed Palais - Royal, którego drzewa widnieją po przez kolumnadę.

Dalej w głębi Marat, Danton, Robespierre, poza nimi Karolina Corday; dalej jeszcze Żyrodziści i wdzięczna postać niewieścia, pani Rolland; potem rycerski zastęp generałów z 792: r. Carnot, Hoche, Desaix, Kleber, potem wodzowie wandejscy: postacie silne i posępnie smutne.

Kolumnady kończą się wreszcie i ukazują się naprzeciwko świątyni zieloność i drzewa, jak jakiś gaj święty. To ogród Tuilleries i kolumnada zwycięstwa. Bonaparte wyciąga ku niej rękę, wkłódo niego sztab bohaterów, a przodem przed nimi defilują te kłódo męzne, które podbiły świat. Lecz oto tam dalej na terrassie des Feuillants stoi Ludwik XVIII, u którego stóp mordują Neyą. Tam na obrazie poprzednim widniał on dzielny i silny, a tu padł twarzą o ziemię. Bourbon ma oblicze obojętne, patrzy zimno.

U stóp terrasy Karol X, księżna d'Angoulême, księżna Berry, politycy, i literaci, i tak dalej, dalej—poza grupą allegoryczną przedstawiającą rok 1830 w postaci przewróconego tronu i gwardii narodowej, która przy nim staje na straży; Ludwik Filip i Izaak Pereira, z planem kolei żelaznej, Lamainnais, Lacordaire, Musset, Sand, Rachel, Delacroix, Ingrès i cała plejada wielkich sztukmistrzów i dokrynerów świetnej epoki, ale tuż za nimi na terrassie, z której widać gmach Inwalidów, Ludwik Bonaparte—Napoleon III otoczony dworem i ludźmi, którzy dokonali przewrotu z 1852 r. i księżna Matylda z orszakiem literatów. Przecież w głębi niebo się zachmurza, migają błyskawice, czuło burzę i pioruny, które bić mają, dalej też wojna z popłochem swym strasznym, dalej Kommuna!...

Skruszone, powalone o ziemię pomniki dawnej chwały, płomienie liżą mury Paryża, skaczą po dachach, ale w tyle słońce przebija się pomiędzy chmur, wydobywa się po nad nie. To rok 1878, Mac Mahon i Wystawa; widać odbudowany Ratusz, a dalej nowożytny Paryż, nakoniec u stóp takiego samego posągu Francji, jak ten poniżej, na początku, Wiktor Hugo samotny, góruje wraz z owym posągiem ojczyzny nad szeregiem obrazów dziejowych, które jakoby pokazują po każdym upadku podniesienie i odzyskanie Francji, jak fenixa z popiołów.

Czy ci, którzy przybędą w 1889 r. oglądać w Paryżu wystawę, będą to mogli prorokować o Francji dzisiejszej: czy nie zostanie już straconą w nich nazawsze wiara w geniusz galijski, *furia gallica*? W każdym razie ta panorama całego wieku historii Francji zajmująca być musi, choć z tej już przyczyny, że wszystkie postacie są portretowane, bo malowane z portretów i widok to nielada ujrzeć tyle twarzy ludzkich, wiedząc, że każda z nich należała do człowieka, który wyorał jakąś bruzdę w dziejach czynów, czy w dziejach myśli ludzkiej.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem.—Ze względu, iż wiele bardzo obrazów olejnych w świątyniach, zbiorach i domach prywatnych niszczone, częstokroć z bezpowrotną stratą dla sztuki, przez niewiadomość o sposobach ochraniań, lub częściej jeszcze skut-

kiem nieumiejętnego oczyszczania i odnawiania ich, Komitet Towarzystwa uznał za rzecz pożyteczną rozpowszechnić poniżej wyluszczone wskazówki, dotyczące powyższego przedmiotu, oparte na doświadczeniu i praktykowane od lat wielu z pożądanym skutkiem zagranicą:

Wilgoć — to dla utworów pendzla najgwałtowniejszy czynnik zagłady: pod wpływem wilgoci paca się płyty drewniane lub gnije płótno i malatura łuskami pęka. Powietrze powinno zawsze móż obchodzić całą tylną powierzchnią obrazu; lekkie obramowanie drewniane łatwo przystosowane być może, aby ochronić dzieło wartościowe od szkodliwych wpływów, wynikających z muru, często wilgotnego, a czasem saletrą osadzonego.

Działanie słońca jest zgubne i szybkie. Spustoszenia przez słońce sprawione bywają ciężkie, niepowetowane niekiedy. Czyniono nieraz zarzuty przeciw zwyczajowi zawieszania opon przed obrazami. Można do pewnego stopnia otrzymać równy skutek za pomocą zasłon, umieszczonych przy oknach, któremi słońce wpada, albo też pomalowania szyb barwą białawą i matową.

Oile możności, oddalić należy świece od obrazu. Tłusty kopeć tycy świec tworzy w połączeniu z kurzem i wilgocią materią lepą, która w krótkim bardzo czasie niszczy świetność kolorytu.

Kurz i ślady wilgoci powinny być usuwane w blizkich odstępach czasu i z najtroskliwszą ostrożnością. Do tej operacji używać należy starej, cienkiej bielizny albo też kawałków starego fularu. Nadewszystko unikać trzeba używania jakiegokolwiek oleju w celu przywrócenia obrazom świetności chwilowej. Olej taki wsiąka w farbę, płótno lub deskę i niema już sposobu zapobiedz stopniowemu, coraz silniejszemu, ciemnieniu obrazu. W tych warunkach użyty olej staje się klęską ostateczną.

Wolno jest tylko *ludziom fachowym* powierzać mycie i oczyszczanie obrazów. Operacja odcyszczania jest tą właśnie, która największej dzieł niszczy, jest ona bez zaprzeczenia najniebezpieczniejszą. Jedni uważają się za dość umiejętnych dla podjęcia próby i poświęcają arcydzieła; inni chępią się posiadaniem mniemanych tajemnic, i praca ich takisam nieszczęśliwy skutek przynosi.

Użycie mydła zostawia zawsze skutki najfatalniejsze i powinno być raz na zawsze wyklęte.

Wybór wernixu jest sprawą ważną. Nie można dosyć się wystrzegać przeróżnych miksytur, będących w handlu od czasu znacznego podrożenia mastyxu.

Zły wernix wywołuje pękanie na całej powierzchni obrazu i nieraz ostatnią sprowadza zagładę. W ogólności wernix winien być odświeżany po latach dziesięciu, mniej więcej, w celu zapobieżenia paczeniu się i wysychaniu farby, które poprzedza rozpeknięcie się na łuski.

Obraz nieochroniony wernixem pokrywa się kurzem, który potem, wskutek wilgoci powietrza, przylega trwale i wgrzyza się we wszystkie pory, zmieniając tym sposobem ton ogólny i przyczyniając się znacznie do dzieła zniszczenia. Wernixowanie wszakże powierzane być powinno jedynie kompetentnym.

Ostatecznie więc, we wszystkich przypadkach, w tych nawet, które się najprostszymi wydają, największą kierować się należy ostrożnością w wyborze artystów, którym ma być powierzony restaurowanie jakiegobądź dzieła sztuki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 22-gi powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Pogawędka.—Byron, wspomnienie, (dalszy ciąg).—**Życie i praca**, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa.—**Na starym gruncie** powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza.—**Podróże naukowe**, (dokończenie).—**Z bieżącej chwili.**
Dodatek obejmuje: Arkusz 22-gi powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez Maryana Crawford — 47 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja stołu.